CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 20 GR.

ROK XXII

ŚWIAT

№ 38

WARSZAWA, DNIA 17-go WRZEŚNIA 1927 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

Polska idea narodowa w czasie obecnym

ZAGADNIENIA

Naród polski, podczas długich lat niewoli, przez całą epokę historyczną, żył ideą niepodległości. Stała się ona integralną częścią jego myślenia, podłożem jego duchowego ustroju i wyrobiła w nim odrębny charakter indywidualny. Każdy inny naród w jego położeniu miałby ją także, miała ją Irlandja, Czechy, Węgry, miała ją kiedyś Grecja, miała Ameryka, każdy naród, który wolność tracił lub się o nią dobijał; to więc, że idea niepodległości, zrodzona przez katastrofę dziejową, stała się w Polsce naczelną ideą polityczną, najwyższą racją stanu, nie uprawnia nas do poszukiwania specjalnych psychicznych cech Polaków. Każe nam to jednak uczynić sposób, w jaki została przyjęta, siła motoryczna, jakiej nabrała, zapuszczając coraz głębiej korzenie w duchowe podkłady narodu i siła twórcza, jaką wydała z siebie. Bez epoki porozbiorowej, znajomość własna byłaby u nas niekompletna, — może i dziś kompletna nie jest, ale w każdym razie powinna być większa, niż gdybyśmy przez te przeżycia historyczne nie przeszli. Stały się one bowiem rewelacją pewnej właściwości narodowego charakteru, która bez tych warunków nie byłaby się tak ujawniła i nie byłaby poznana.

Właściwością tą jest skłonność do przekształcania idei naczelnej w absolut moralny, przenikający i regulujący całe życie zbiorowe. Idea niepodległości rozwinęła się u nas w wiarę i religję. Podobny proces odbywał się i we Włoszech w okresie risorgimentu, nie doszedł tam jednak do takiej pełni, jak u nas: reprezentantem i symbolem wolności w Europie nie Włoch stał się, lecz Polak. I oczywiście! Jeżeli bowiem poglądy np. Mickiewicza i Mazziniego na przeznaczenie i posłannictwo narodów są niemal identyczne, jeśli myślowo wynikają z tego samego źródła romantycznej filozofji, to w praktyce nad Włochem sklepienie rozciąga tylko Roma, egoizm narodowy nie pozwala mu z ziarn idei narodowej wyprowadzić absolutu moralnego dla człowieka w ogóle, a raczej wyprowadza go, aby służył Italji i tylko Italji. Tu w teorji i praktyce Polska dla ludzkości! tam w praktyce ludzkość dla Italji!

Cofnijmy się w przeszłość, a ową właściwość przekształcania idei naczelnej w absolut, występującą jeszcze w charakterze dążności i nie osiągającą stopnia najwyższego, ujrzymy w Polskiej Republice Szlacheckiej, gdy z postulatu wolności szlacheckiej wynikały wszystkie zasady i wskazania dla publicznego i prywatnego życia szlachcica. Tolerancja religijna tylko dzięki temu u nas zapanowała. Na wzmocnienie naszego twierdzenia dostarczają licznych przykładów stowarzyszenia poszczególne, na większej płaszczyźnie działające, ale posiadające ideę kierowniczą. Towarzystwo filomatyczne wydaje z siebie filomatyzm, Polska Partja Socjalistyczna pepesowość i t. d.

Badając historję Polski i obserwując charakter Polaków, rodzi się pytanie, czy właściwość ta nie zastępuje zwykłej u innych narodów sprężystości, pozwalającej im na stawianie czoła przeciwnościom losu i na normalne trwanie i rozwój w zwyczajnych warunkach.

Francja w dziejach swoich przechodzi przez różne fazy, przygasają w niej i wspłomieniają wielkie aspiracje, po niebosiężnym locie napoleońskim przykucnie sobie na burżuazyjnym fotelu Ludwika Filipa, lecz zawsze żyje normalnie i nie upada w błoto, gdy jej wielka idea nie podtrzymuje. Nie potrzebuje jej, aby uratować franka, lub wypowiedzieć walkę komunizmowi, gdy ten zagraża jej egzystencji. Nam brak pacierzowego kośćca i idea narodowa jest jak pancerz, który daje nam formę i lutuje nasze siły; zdejmując go lub tracąc, rozsypujemy się, jak piach. I to jest ta nasza przeklęta bierność! Wkładając jednak pancerz i skupiając energję w jednem ognisku, dochodzimy do siły i energji zdumiewającej.

Z czemżeśmy weszli w mrok niewoli? z jakiem obliczem moralnem i jaką najbliższą tradycją? Z tradycją czasów saskich, króla Stasia i Targowicy. Opinja o nas, podsycana n. b. kultem dla Katarzyny i Fryderyka, panowała przygnębiająca. Mieliśmy przecież już za sobą prace czteroletniego sejmu, i konstytucję 3-go maja, i powstanie kościuszkowskie, i legjony, a Napoleon mówił: „zobaczę, czy Polacy godni być narodem". I oto, wszystko, co straciliśmy moralnie, gdy mieliśmy wszystko materjalnie, odzyskaliśmy wówczas, gdy materjalnie nie posiadaliśmy już nic! Po klęsce politycznej, wymazani z karty politycznej Europy, włóczęgi i nędzarze, uratowaliśmy dobrą sławę Polski. Czy to nie zastanawiające? Czy nie zastanawiające, że niebawem po katastrofie napoleońskiej, po ostatecznym, zdawałoby się, zawodzie, opierając się napowrót o ideę narodową, nietylko gotujemy się do nowej walki, wiążąc się w niezliczone spiskowe organizacje, nietylko uprawiamy w Sejmie Warszawskim w wielkim stylu opozycję konstytucyjną, ale śnić się nam zaczyna Polska od morza do morza — Polska Jagiellonów i Batorego?

— „Senatorowie! Wy zapewne odgadujecie, co to jest Ojczyzna, owa Jerozolima, owa święta ziemia, obiecana pobożnym i wiernym, którzy się nie kłaniają cielcom i nie ofiarują im? Zaprawdę, nie jest nią ta piaszczysta przestrzeń Mazowsza, ani Wisła, przerzynająca niezmierzone okiem równiny wasze, ani stolica, ani wspaniałe w niej siedliska władz rządowych, ale jest nią owa wielka myśl politycznej niepodległości, i nadzieja, że się kiedyś, za pośrednictwem i pomocą bożą, w jedną nierozdzielną sprężymy całość, że będziemy twierdzą Europy, pogromem dla złych sąsiadów i wybranym Słowiańszczyzny ludem".

Tak pisze Mochnacki wówczas, gdy w Warszawie grasuje wściekła bestja w osobie w. ks. Konstantego i w chwili, gdy przed sądem stoi podpułkownik Krzyżanowski z towarzyszami. I aż do końca, aż do tej chwili, gdy w Krakowie, w maleńkim pokoiku na Szlaku, ślęczy się nad niebywałym planem stworzenia polskiej armji, która przeleje krew za Polskę w nadciągającej a przez ogół nieprzewidywanej wszechświatowej wojnie, — a gdzieindziej wykreśla się granice przyszłej Polski ze Śląskiem i Gdańskiem, które zostaną przedstawione Konferencji Pokojowej w Paryżu, historja Polski jest jak bohaterski poemat pełen rozmachu, jak cudowna legenda, powstała w fantazji ludu, stęsknionego do ideału.

Niema narodu na świecie, któryby miał takie okresy moralnego upadku i takie chwile duchowej podniosłości, jak Polska, to też nic dziwnego, że u nas powstał sąd ogólny: *naród bez idei istnieć nie może.*

Nieprawda! Naród bez idei istnieć może, ale naród polski bodaj że nie!

I byli ludzie, którzy jeszcze przed wojną ze strachem myśleli, co stanie się z Polską, gdy idea niepodległości od niej odpadnie, gdy stanie się jej niepotrzebna. Czem żyć wówczas będzie?

Istotnie odzyskanie niepodległości zrujnowało odrazu cały system wierzeń i ideałów, wynikających z idei naczelnej, istniejącej w zbiorowej psychologji narodu. Idea, będąca absolutem moralnym, nie została zastąpiona przez inną, odejście więc jej stało się psychologiczną katastrofą. Nic nie pomoże powracanie do jej źródeł, ciągnięcie na sznurku młodego pokolenia, aby z nich piło. Pić nie chce. Wiemy przecież, że nasza młodzież wcale specjalnie nie lubuje się w poezji Mickiewicza, a o Ujejskim prawie wcale nie wie. Bo i jakąż treść może dla niej zawierać. — O matko polko, kiedy syna twego... albo — Od twego ludu, co w mękach umiera..... W każdym razie nie treść jej przeżyć. Inaczej być nie może. Przeszłość można studjować i kochać, ale żyć nią nie podobna — żyje się teraźniejszością, tylko trzeba, aby teraźniejszość była równie święta i wielka i aby miała perspektywę w przyszłość. To nie nastąpiło. Pancerz z nas spadł i wystąpiły na jaw wszystkie nasze przywary, jak za czasów saskich. Obniżyło się nasze życie obyczajowe, towarzyskie i rodzinne, nastało frymarczenie nazwiskami i religją — często niewiadomo, jak kto się nazywa i w co wierzy— na szarym końcu znalazła się sztuka i literatura, nauka, o ile nie służy najbliższym celom praktycznym, nie jest wogóle brana pod uwagę, skoczyliśmy sobie, jak to za najlepszych czasów dawniej bywało, jeden drugiemu do gardła i oplułiśmy się wzajemnie od stóp do głów. O tem, zresztą, niema co pisać, bo o tem wszyscy dostatecznie wiemy. A gdzie jaka idea? Niema idei!

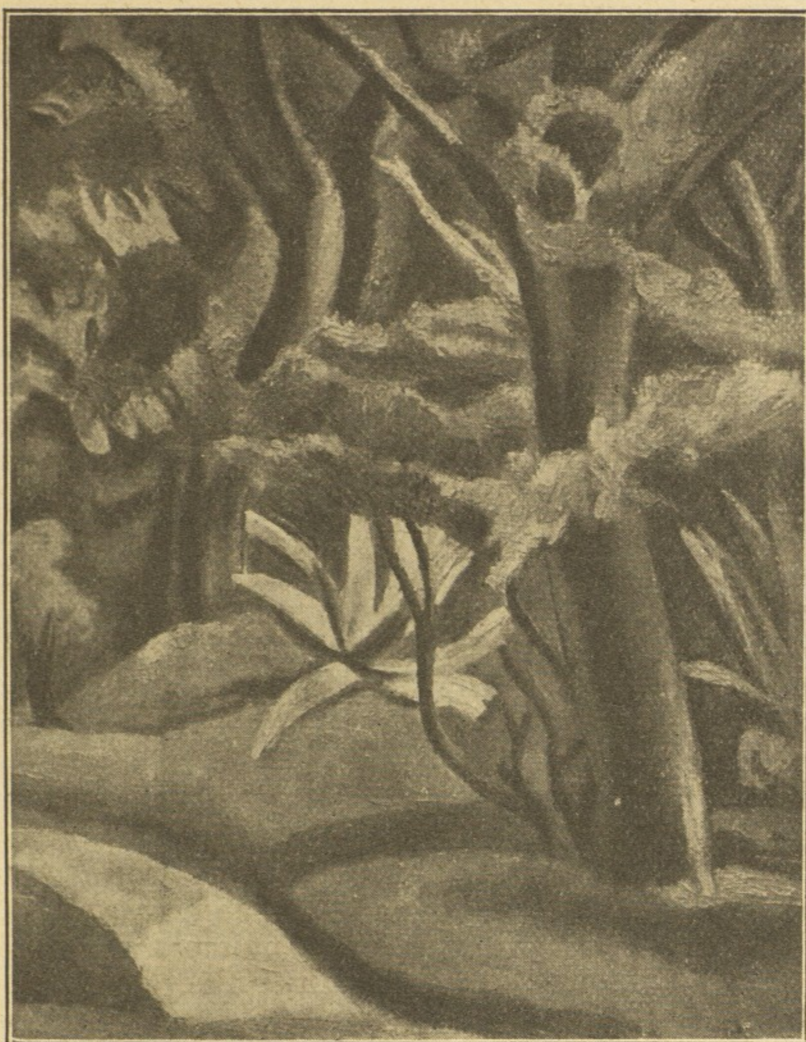
W tem poczuciu Żeromski pisał „Przedwiośnie". Stwórzmy ideę! wołał, bo inaczej zginiemy, bo inaczej tylko komunizm! Lecz idei stworzyć, ani wymyśleć nie można. Stworzona i wymyślona, to domy szklane. Albo jest i wtedy trzeba ją dojrzeć, albo jej niema i wtedy nikt jej nie wymyśli. Idea niepodległości Polski nie została stworzona przez poetów — oni zrobili z niej tylko „pacierz, co płacze i piorun, co błyska" — zrodziło ją życie, wyłoniła się z dziejowej katastrofy. Teraz, gdy słońce zaświeciło, czy nic w promieniach jego dojrzeć nie można?

Można! Idea narodowa, mogąca stać się moralnym absolutem, taką samą siłą, jaką była idea niepodległości w okresie ubiegłym, istnieje, stworzona tak samo przez życie, tak samo przez konieczność historyczną. Jest nią cywilizacja odzyskanego i oswobodzonego kraju. Leży jak na dłoni, widnieje na zwoju pergaminu, odwiniętym z dziejowego walca. Nie król, nie faszyzm, nie moralne sanacje, nie włóczenie się po cudzych drogach i szukanie wiatru w polu, ale ona! Idea cywilizacji podniesiona do absolutu, nietylko zdolna kraj moralnie odrodzić, lecz także niesie odpowiedź na najbardziej piekące zagadnienia życia wewnętrznego i jest najistotniejszą gwarancją państwowego bytu. W historji dwa razy stanęła przed nami jako dziejowa konieczność i dwa razy podjęta została przez dwuch największych monarchów, Bolesława Wielkiego i Kazimierza Wielkiego. Pierwszy państwo tworzył, drugi je odziedziczył po bohaterskim ojcu spustoszone i napoły zdziczałe. Dziś spocząć na ramionach jednego człowieka nie może i nie powinno. Dziś musi ją podjąć całe światłe społeczeństwo, posiadające sejm, rząd, instytucje społeczne, literaturę, publicystykę, zaopatrzone we wszystkie narzędzia cywilizacji zewnętrznej, — i uczynić z niej naczelną ideę narodową.

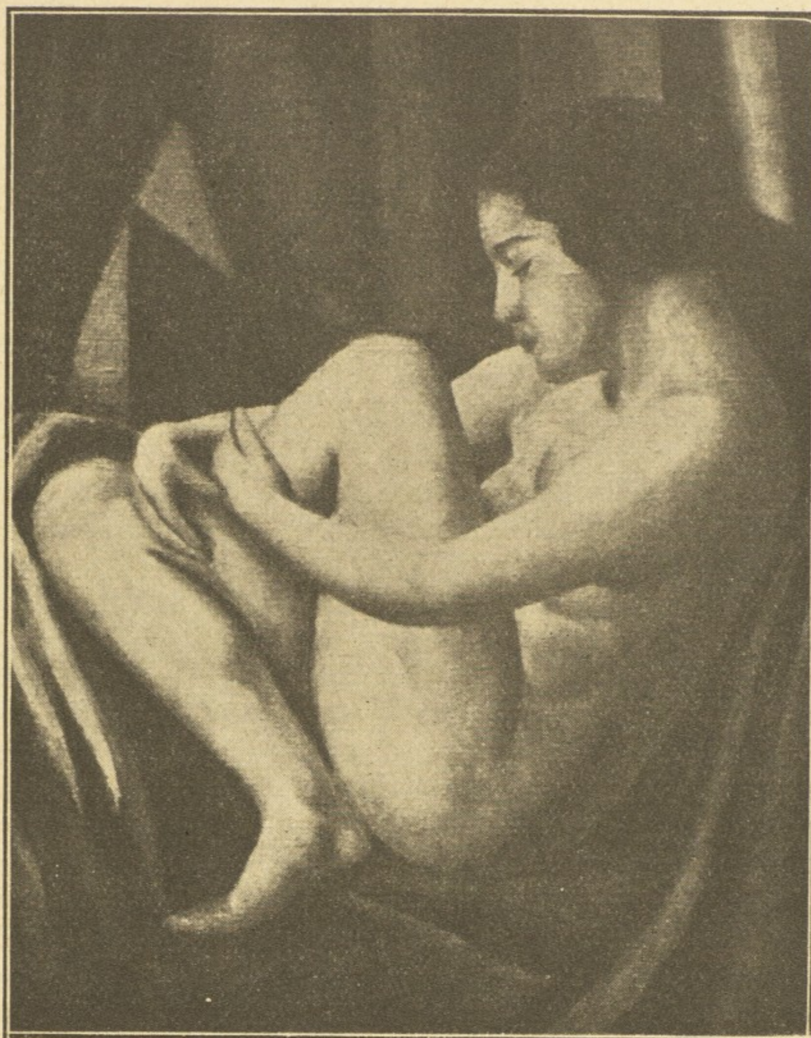
Stanisław Szpotański

Z WYSTAW PARYSKICH

Photo M. Vaux



J. Januszewski *Pejzaż z Południa*



J. Januszewski *Akt*



J. Januszewski *Tancerka*



J. Januszewski *Tancerki*

MALARZ RYTMU

(z powodu wystawy p. Jana Januszewskiego)

P. J. Januszewski jest artystą naskroś nowoczesnym. Nie znaczy to wszakże, by podzielał hasła deformacji systematycznej i odsuwania sztuki od źródeł ożywczych natury, hasła, jakie propagują kubiści i futuryści. Malarstwo traktuje, jako indywidualną transpozycję tematu, zapożyczonego w ogólnych linjach z natury, za pomocą rozkładu plam i mas barwnych na dwuwymiarowej płaszczyźnie ściany czy płótna. Rysunek zlewa się dlań niepodzielnie z elementami barwnej powłoki obrazu, które rozgranicza i określa. Rolę zaś bryły sprowadza do uwydatnienia walorów plastycznych ciał stałych kompozycji w przeciwieństwie do płynnych fal światła i efektów atmosferycznych.

Oddać ruch, tę podstawę życia, malarstwo może tylko pośrednio. P. Januszewski osiąga ten rezultat przez uchwycenie typowego zasadniczego wyrazu modela, który akcentują jeszcze poza jego i gest, sharmonizowane z całością dla psychicznego przedłużenia tego ruchu we wrażliwości widza. Opiera to artysta na wyczuciu rytmu swoistego swego tematu.

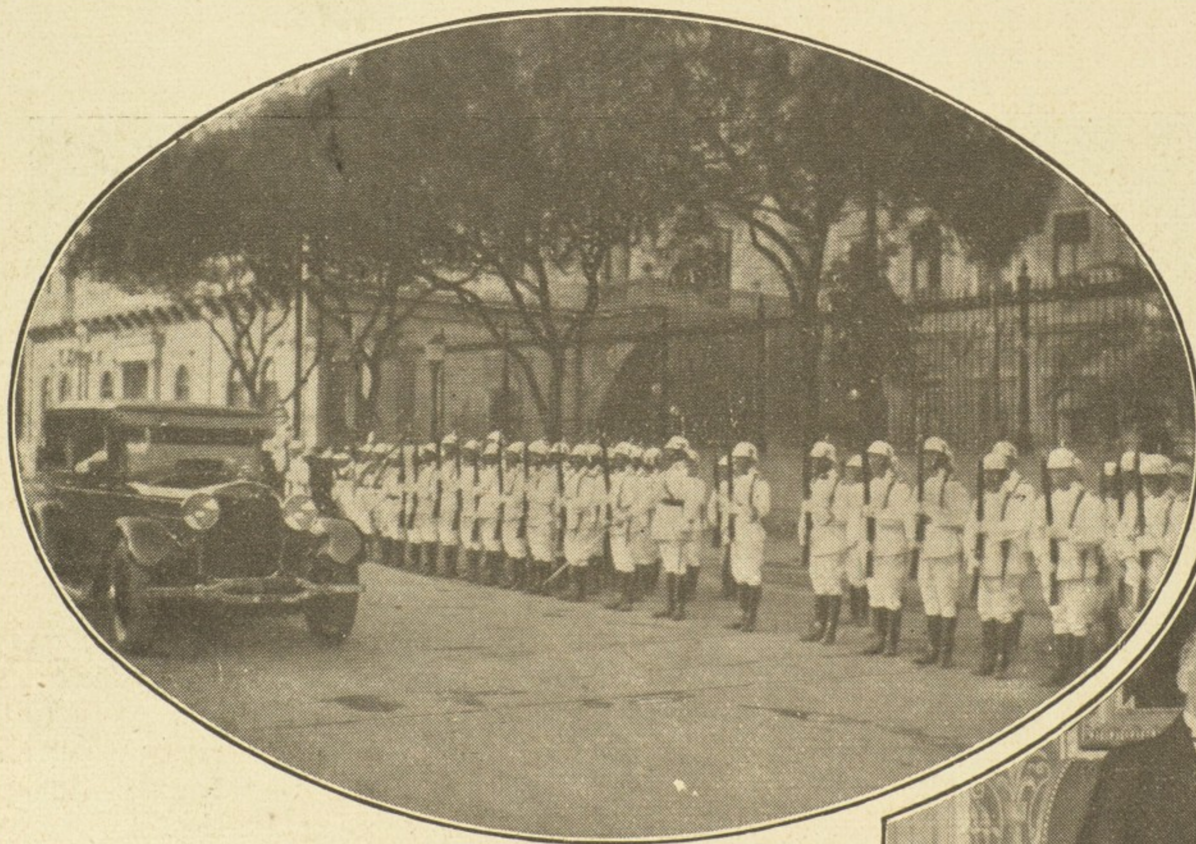
Na czem bowiem polega rytm w obrazie? Polega on albo na następstwie poziomych i pionowych linij, mas barwnych i płaszczyzn, albo na celowem ich przeciwstawieniu. Przypatrzmy się kilku pracom p. Januszewskiego. Ciężkie, twarde fałdy draperji geometryczną swą sztywnością uwypuklają wdzięczne kształty Tancerek, podnosząc jeszcze lotność ich ruchów. Zygzak dziwaczny w swem pochyleniu kanciastej sylwety znanego clowna Porto odbija się, jak żywy grotesk, na granatowem i brunatnem tle planu drugiego.

W podkładzie emocji twórczej leży zawsze synteza. Analiza zaś służy do wyboru środków i form niezbędnych do realizacji nowej ostatecznej syntezy, która jest celem artysty. W szeroko pomyślanych dziełach p. Januszewskiego nagromadzenie drobiazgowo opracowanych szczegółów staje się bezcelowem. Temat ujmuje on w linjach zasadniczych, upraszczając go syntetycznie dla wydobycia zeń rytmu dominującego. Posługuje się kilku silnemi tonami o gamie dyskretnej, lecz wyrazistej, ze szczupłą ilością odcieni. Ciemne lub neutralne kolory wiernie oddają nastrój spokoju, bezwładu, bierności, barwy intensywniejsze — pomarańczowa, błękitna, różowa, blado zielona, wiśniowa — podkreślają akcję, ruch i wysiłek. Z prawdziwym talentem p. Januszewski buduje wszystko na równowadze formy rytmicznej i kolorytu, które składają się na harmonijną całość.

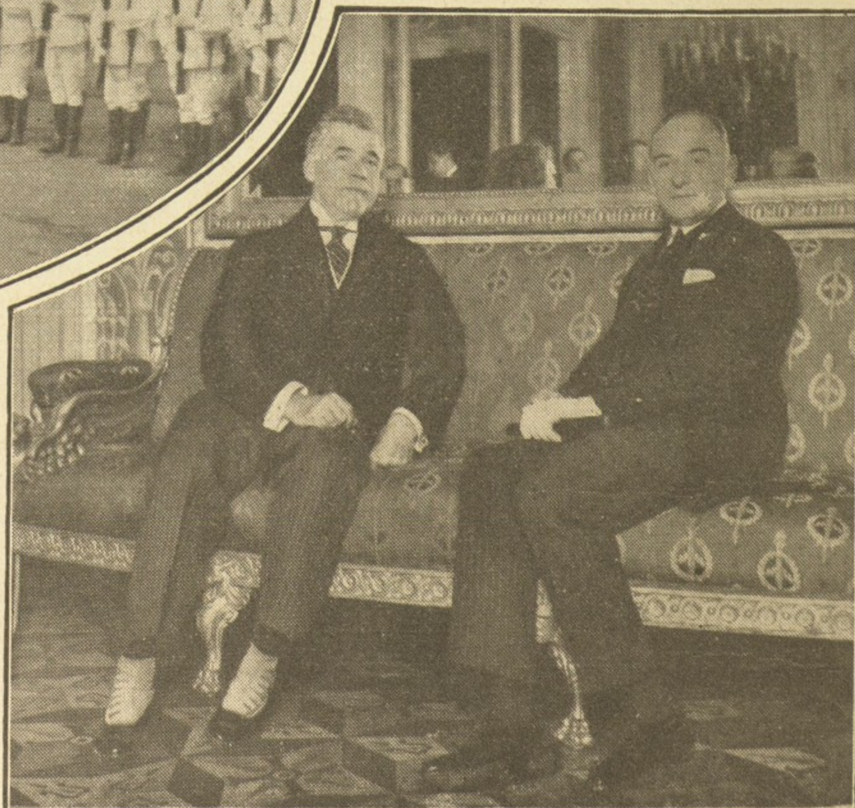
Niekiedy brakuje jego kolorytowi płynności i głębi, zwłaszcza w planach drugich obrazu. Również przejścia od tła do części centralnej kompozycji czasem są nieco za sztywne. Ale siła i prawda wyrazu i jędrne tętno rytmu plastycznego, które wyczuwa się w jego dziełach, pozwalają nam na zaliczenie p. Januszewskiego do liczby kilku najciekawszych malarzy polskich w Paryżu.

Paryż — *E. Woroniecki*

Złożenie listów uwierzytelniających p. prezydentowi Brazylji przez nowego posła polskiego



Gwardja oddaje przepisane honory przejeżdżającemu posłowi



Poseł Dr. Tadeusz Stanisław Grabowski podczas rozmowy z prezydentem St. Zjedn. Brazylji Dr. Washington Luis P. de Sousa podczas audjencji

RUCH ULICZNY W LONDYNIE

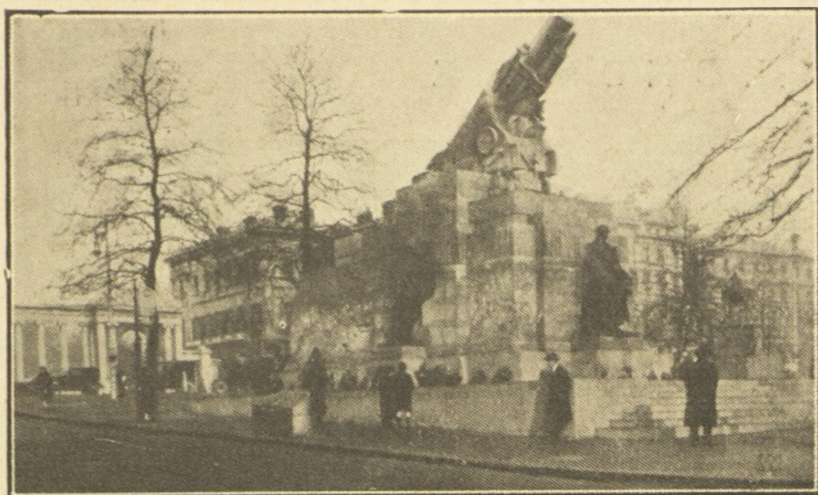


Olbrzymi ruch uliczny w Londynie w pewnych punktach, jak Picadilly, Charing Cross, Haymarket, wymaga specjalnej troski, by uniknąć nieszczęśliwych wypadków. W miejscach tych kierują ruchem specjalnie wyszkoleni policjanci. Znaki dawane przez nich są szczególnie przestrzegane.

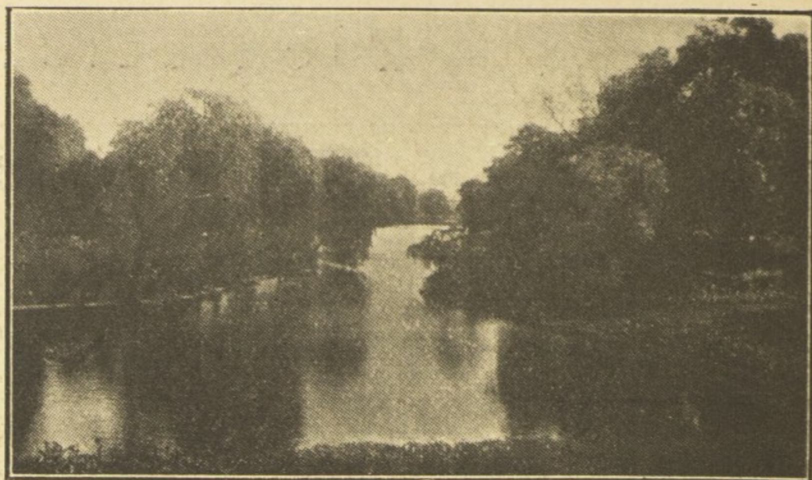
NA PLAŻY W BIARRITZ



Ostatnie słoneczne dni w Biarritz Fot. „Illustration"



Pamiętny pomnik dla uczczenia zasług artylerji angielskiej podczas wojny światowej



Jezioro w St. James Parku

Z LONDYNU

Organizacyjny zmysł angielski daje się spostrzec już na statku, wiozącym pasażerów do portu. Wszystkie, zwykle tak przerażające długie czynności paszportowe dokonywane są na pokładzie okrętu i przy wyjściu na brzeg pozostaje wyłącznie celna rewizja.

Stary urzędnik wyciągnął do mnie spis podlegających opłacie przedmiotów.

Długa to lista, więc rzucam na nią okiem i na chybił - trafił wyrywam z niej jeden zakazany towar: „kość słoniowa".

Dotykam walizki i mówię:

— Nie posiadam kości słoniowej!

Urzędnik spojrzał na mnie przez okulary i nagle się roześmiał wesoło:

— All right! Zupełnie wierzę panu...

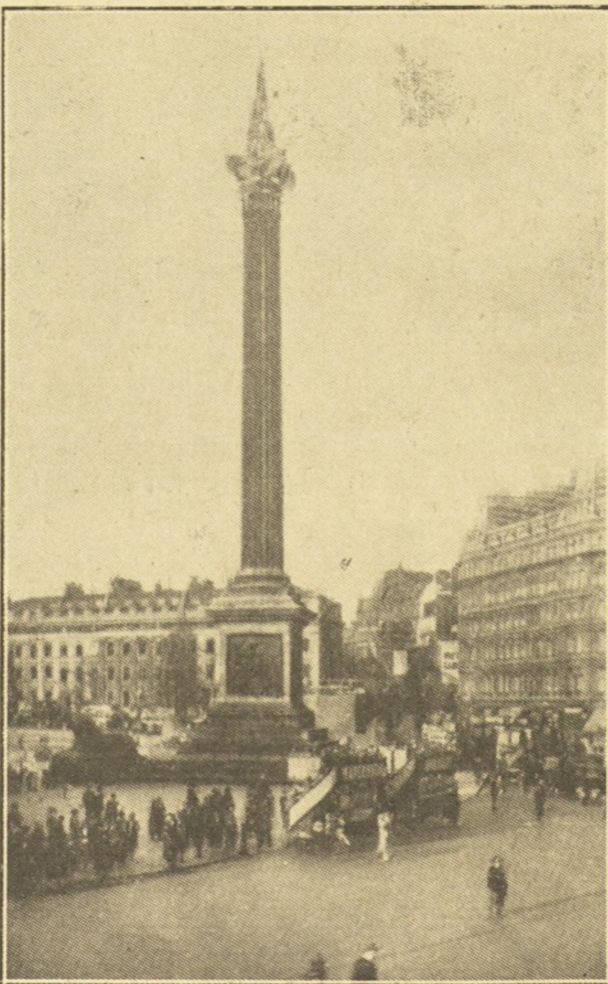
Jestem w samochodzie mego przyjaciela, lawirujemy ulicami Folkestone, zatłoczonemi ogromnemi autobusami turystycznemi, prywatnemi wozami, tramwajami i różnobarwnemi „busami", podtrzymującemi komunikację pomiędzy sąsiedniemi mniejszemi miasteczkami.

Nareszcie samochód nasz wyrywa się na piękną, szeroką, asfaltowaną drogę, biegnie brzegiem morza, ze świecącemi się na niem ognikami pływających bakanów i z migającemi na dwuch cyplach przylądków latarniami morskiemi; przed kilku laty fary były zgaszone, aby nie dopomagać nieprzyjacielskim łodziom podwodnym omijaniu zastawionych na nie sieci, a teraz przyświecają rybackim trawlerom i szkutom, powracającym z połowu do przedmieścia rozległego Folkestone.

Wymarzona droga samochodowa, kryta asfaltem lub betonowemi blokami, prowadzi do Londynu. Co trzy mile widzimy barwne latarki stacyj benzynowych i warsztatów do naprawy samochodów i motocyklów.

Droga obstawiona znakami ostrzegającemi i wskazującemi kierunek na skrzyżowaniach. Palą się latarnie elektryczne. Rozjeżdżają się na motocyklach patrole „AA" (Automobil - Association), dla doraźnej pomocy członkom stowarzyszenia w razie wypadku w drodze.

Przeganiamy inne samochody i motocykle, gdzie za plecami kierownika zawsze siedzi skulona postać kobieca, otulona w ciepły



Trafalgar Square z kolumną Nelsona

płaszcz i czapeczkę, lecz śmiało demonstrująca bardzo kształtne, wysportowane nóżki. Doprawdy, trzeba bardzo kochać tego rozkraczonego nad sterem jegomościa, aby trząść się przez kilka godzin na małem, niedogodnem siodełku, widząc przed sobą tylko plecy kawalera! Zresztą — może to się robi wyłącznie dla sportu?!

Mijamy szereg małych, schludnych miasteczek z tramwajami, elektrycznością, restauracjami, majestatycznymi policjantami i rzęsiście oświetlonemi kinami i kawiarniami, aż zaczyna się Londyn. Odrazu znienacka ogarnia nas miasto - olbrzym.

Jakąś ulicą jedziemy dobrą godzinę, aż przebiegamy most nad Tamizą i wjeżdżamy do serca Albionu. Olbrzymie gmachy banków, towarzystw asekuracyjnych i transportowych, redakcyj pism, stacja kolei podziemnej i drogi żelaznej, restauracje, hotele, teatry, ciągnące się w nieskończoność sztachety parków, mknące samochody i autobusy... końca niema temu miastu!

W dzień Londyn zadziwia, mimo szalonego ruchu, ciszą, równowagą i czystością.

Gdy o tem mówiliśmy z panią Dawson - Scoot, założycielką Pen-Clubu, uśmiechnęła się i rzekła:

— W takiem mieście nie można tworzyć nawet w dobrą pogodę, a cóż dopiero w mgliste dni!

Istotnie, gdy Galsworthy, Chesterton, Wells, Byrne, Shaw i Kippling postanawiają pisać nowe książki, opuszczają Londyn. Galsworthy — ten to ucieka aż do południowej Afryki, Kippling — do Indji, inni — gdzie kto może.

Dawno nie byłem w Londynie i dużo się zmieniło w stolicy Albionu. I ciągle się zmienia. Właśnie

— teraz przebudowują całe Picadilly, rozszerzają ulice, burzą stare i wznoszą nowe gmachy.

Gdy turysta przebiega arterje handlowej dzielnicy Londynu, lub się przygląda wystawom sklepowym na Regent lub Oxford - street, uderza w oczy wpływ głównej pobudki dla rozwoju przemysłu.

— Ewerything is for ladies!

Kapelusze, jedwabne pończoszki, pantofelki z najrozmaitszego materjału, za wyjątkiem chyba ludzkiej skóry, okrycia, suknie, futra, wyroby jubilerskie, przedmioty i meble, czyniące z mieszkania kobiety — raj, — tylko to pozostaje w pamięci.

Dla dżentelmenów zaś — kapelusze, fajki i tabaka.

No — i samochody, chociaż, co prawda, kupują je w 75-ciu procentach poto, aby w niedzielę pojechać z pięknemi kobietami za miasto, lub na drugi koniec królestwa.

Ruch samochodowy jest rozwinięty tu powszechnie.

O ile w Paryżu zadziwia ilość taksówek, o tyle w Anglji — prywatne wozy mają przewagę liczebną.

W Paryżu policja kieruje i dowodzi całym ruchem automobilowym, w Anglji — każdy wie, co i jak ma i może czynić; policja interwenjuje tylko wtedy, gdy zagraża zamieszanie.

Dwuch najeżdżających na siebie szoferów spokojnie się rozmija, uśmiechają się do siebie, i nigdy tam nie słyszałem siarczystego „psiakrew"!, lub jeszcze dosadniejszego wykrzyknika „cholera"!

Tymczasem tyle psów, co w Londynie, — nigdzie niema, chyba w Konstantynopolu, a cholera jest zwykłą epidemją dla Indji, należących do Wielkiej Brytanji.

Osobliwością stolicy Anglji stanowczo nie są ani Westminster z jego katedrą i parlamentem, ani pałac Buckinghamski, ani kolumna Nelsona, ani City.

Pozwolę sobie skierować turystów w inne miejsce, aby zrozumieli Londyn.

A więc — pierwsza wizyta do British Muzeum. Tu zebrano z całą łapczywością i pieczołowitością wszystko, co dała Anglja cywilizacji i to, co potrafiła w ten lub inny sposób wydrzeć innym ludom z ich dorobku.

Starożytny Egipt, tajemnicza Asyrja i Babilonja, kraje i ludy Fenicji, Syrji, Misr i Arzawy, Indje, Chiny, Japonja, Inkowie i Azteki, Tybet i daleka północ Azji i Ameryki, Zulusi, Kafrowie i Papuasi złożyli tu dobytek mięśni i mózgu od niepamiętnych czasów do dnia wczorajszego. Współczesna sztuka wszystkich narodów, nauka i twórcza myśl, ujęta w kształtach, barwach i piśmie, znalazły tu swoje miejsce, swoją półkę, swoją szafkę, gdzie zwiedzający tłum może to oglądać ze wszystkich stron.

Skarbów, zamkniętych w gmachu Muzeum, nie da się ocenić na złoto. Administracja angielska jest uprzedzająco grzeczna i z wielką łatwością dopuszcza do swych czytelni, dając najdroższe i najrzadsze dzieła, manuskrypty i papyrusy nieraz prawie nieznanym osobom dla studjów specjalnych.



Arka Wellingtona

Druga wizyta — do doków nad Tamizą, do portu handlowego. Jest to ciąg dalszy poprzedniego muzeum. W Galerji Nacjonalnej turysta ogląda rzeczy, mające olbrzymie lub nieznaczne oddalenie od chwili obecnej. Jedne z nich się zrodziły 8000 lat przed Chrystusem, inne — wczoraj.

W porcie zaś — to już samo *dziś!*

Wszystko, co wyrabia i czem handluje najmniej chociażby znany zakątek jednego z czterech kontynentów oraz obszary arktyczne i antarktyczne — wszystko to zwożą nad Tamizę olbrzymie statki kupieckie, przedsiębiorcze „trunks", małe skunery, szkuty i trawlery.

Mrożone mięso z Australji i Argentyny, heban i mahoń z Brazylji, nafta i mąka ze Stanów Zjednoczonych, bawełna z Egiptu, herbata z Cejlonu, jedwab z Chin i Japonji, oleje i kość słoniowa z Afryki Centralnej, metale z różnych zakątków świata, a między innemi — ołów z Urugwaju, złoto z Syberji i Transwaalu, platyna z Uralu, drogie kamienie z Persji, z kopalni na Amazonce, z Bengalu i Johannesburga, perły z wysp malajskich...

Wszystko to ma swoje składy, ekspertów, giełdy, pisma, reklamę, do chwili, aż City szybko przekształci cały ogrom wysiłku ludzkiego, zużytego na wyprodukowanie towarów, i ich wartość w kilka papierowych czeków, złożonych w bankach.

Po zwiedzeniu fabryk wyrobów ducha — w British Museum i mięśni — w porcie londyńskim radzę odwiedzić o zmierzchu piękne parki: Regent, St. James i Hyde.

Znużeni pracą bankierzy, robotnicy, subjekci handlowi, posłowie do parlamentu, lordowie i rzesze dzieci zalegają aleje i trawniki parków, bawią się, pływają łódkami po stawach, leżą na gazonach i słuchają głuchego gwaru miasta — wampira i porykiwań lwów oraz straszliwego „Tigona" — syna tygrysa i lwicy, układających się do snu w pobliżu „Zoo".

Tylko w Hyde - Parku tuż przy wejściu, na słynnym „Corner", gdzie się odbywają wielotysięczne wiece, na placu i chodnikach — tłum i zgiełk.

Chichoczą wesołe „girls", wpatrzone w czerwone mundury gwardzistów, „strzelają" motocykletki, grupa zrzeszenia ewangelickiego chórem śpiewa psalmy, wykrzykują „sandwicze" tytuły widowisk teatralnych, z improwizowanych katedr rozlegają się filipiki protestanckich kaznodziejów przeciwko Papieżowi, a przebiegły psycholog - jezuita, śmiesząc publiczność, drwi z przeciwników, spokojny, pewny siebie, bo wie, że katolicyzm robi wielką konkietę w społeczeństwie angielskiem.

Minęły bowiem bezpowrotnie te czasy, gdy przed wielką wojną katolik - anglik nie mógł być oficerem królewskiej armji, a religijne procesje katolików były surowo zakazane w całej Anglji protestanckiej.

Północ... Na oświetlonych ulicach pustka i cisza....

Czasem tylko przemknie się samotny przechodzień, huknie na zakręcie ulicy spóźniony samochód.

F. A. Ossendowski

Londyn.

Legendy polityczne

Ponieważ wszystko na świecie przemija, więc przeminie prawdopodobnie i wspomnienie o kampanji lorda Rothermere'a, która w ciągu dwóch letnich miesięcy narobiła tyle wrzawy i zamętu w umysłach. Ale dziś jeszcze nie można uważać jej za przebrzmiałą, pomimo iż są pewne poszlaki wskazujące na to, że dogorywa.

Kto był sprawcą tej burzy? Nabab prasowy, nieograniczony władca dwudziestu kilku pism, bijących razem kilka miljonów egzemplarzy, brat i spadkobierca, ale nie kontynuator ideowy zmarłego lorda Northcliffa, wybitnego męża politycznego i przyjaciela Polski.

Przeciwnicy polityczni i dziennikarscy lorda R. głowili się nad zagadką, co mogło spowodować lorda R. do podjęcia kampanji *ad majorem Hungariae gloria,* do zaangażowania się *corps et âme* w sprawę, która nie była dotąd obojętną. Krążyły na ten temat różne domysły, przeważnie natury osobistej.

Jeden z nich był szczególnie interesujący. Powszechnie zauważono, że od samego początku swojej kampanji lord Rothermere, który popierał wszystkie bez wyjątku dążenia Węgrów, odżegnywał się tylko od jednego: od restytucji Habsburgów. Tej jego powściągliwości nikt nie rozumiał. Tymczasem, niedawno syn lorda R., sir Edmond Harmsworth w wywiadzie dziennikarskim wyraził się (bardzo ostrożnie, za nic, broń Boże, nie odpowiadając), że w Anglji kandydatura księcia Connnaught do tronu węgierskiego byłaby uważana za naturalną. Na tej kruchej podstawie trudno było budować jakieś kombinacje realne, ale reporterja światowa nie dała za wygranę i zaraz postawiła jako rzecz możliwą osadzenie angielskiego księcia krwi na tronie węgierskim.

Nie zatrzymujemy się nad temi fantastycznemi pomysłami. Opowiemy natomiast historję imprezy lorda Rothermere'a.

Kiedy lord R. powrócił z Budapesztu do Londynu, zmobilizował wszystkie siły swego zespołu dziennikarskiego, poruszył wszystkie sprężyny, aby postawionego przez siebie celu dopiąć. Wielkim dlań sukcesem była irredenta węgierska, która już od paru lat prowadziła na wszystkie strony kampanję w celu przeprowadzenia rewizji traktatu w Trianon.

Naród węgierski ma duże poczucie swej siły i nie zapomina o świetnej przeszłości. Cechują go wielkie ambicje. Znaną jest sentencja: *nisi Hungaria non est vita, si est vita, non est ita.*

Jakże się może pogodzić ze swojem obecnem istnieniem? Wczoraj jeszcze państwo węgierskie liczyło 23 miljony, a dziś tylko 8. Obalić ten monstrualny stan rzeczy — to cel święty dla wszystkich Węgrów, ale nie każdy Węgier zmierza do jego urzeczywistnienia temi samemi drogami. Umiarkowani, którzy stanowią znaczną większość politycznego społeczeństwa, liczą się z konsekwencjami każdej nieostrożności, natomiast irredentyści, *alias* tourniści, których jedynem hasłem jest *redde quod debes,* nie chcą czekać, nie chcą wchodzić w żadne kompromisy, rzucili się więc z całym zapałem i energją na pomoc lordowi Rothermere.

Akcja lorda spotkała się odrazu z niepowodzeniem. Zarówno *Foreign Office,* jak i na *Quai d'Orsay* zaprotestowano przeciwko jakiejkolwiek rewizji traktatu. Stronnictwo konserwatywne (rządowe) wyparło się wspólnictwa ze swym członkiem, lordem R. Większość prasy angielskiej zachowała się obojętnie, a „Times" potępił i wyszydził całą „awanturę".

Że trzy państwa Małej Ententy staną murem przeciwko podważeniu traktatu trianońskiego, to było łatwe do przewidzenia. Ministrowie spraw zagr.: rumuński, Titulescu, i jugosłowiański, Marincovic, zaatakowali ostro lorda R. O tem, co go spotkało w Czechosłowacji, trzeba pomówić osobno.

Podobnie jak jego koledzy, rumuński i jugosłowiański, tak i Dr. Benesz zaoponował (w senacie) przeciwko interwencji rothermerowskiej. Reagował na to lord R. w sposób namiętny, nie przebierając w środkach i wyrażeniach. Posypały się gwałtowne inwektywy: Czem mógł zakończyć się taki pojedynek słowny? Skończył się tem, że Dr. B., nie mogąc znaleść w słowniku dyplomatycznym właściwych zwrotów dla odpowiedzi, musiał po pierwszej wymianie listów zamilknąć.

Ale tu nastąpiła rzecz nowa. Nowa przynajmniej dla opinji europejskiej. Na arenie politycznej zjawiła się Słowacczyzna. Otrzymawszy pewne prawa autonomiczne, nie chce ona dalej działać na zewnątrz pod ochroną bandery Czechosłowacji, chce być sobą i samą się bronić. Jest subjektem, nie chce być objektem, nie chce być „ofiarą" ani ucisku Węgrów, ani ambicyj czeskich.

Było prawdą, że Słowacy długo nie chcieli się pogodzić ze swą rolą w republice CzS., poprzestać na samorządzie i t. zw. równouprawnieniu, że dobijali się, jeżeli nie federacyjnego ustroju, to przynajmniej autonomji. Stronnictwo Mgr. Hlinki, najliczniejsze na Słowacczyźnie (60% mandatów), stało na czele tej opozycji. Ale już rok temu nastąpił zwrot w stosunkach. Nie zrzekają się one dążeń do dalszego rozszerzenia autonomji, ale niewątpliwie ukrócą wszelką próbę rozbicia państwa czechosłowackiego. Jasno tę kwestję postawił Mgr. Hlinka na kongresie młodzieży katolickiej w Koszycach 25 lipca b.r. Ostro zaatakował „wzmożoną irredentę węgierską, popartą przez akcję lorda R. i przez działalność zmadziaryzowanych księży słowackich zagranicą".

Zgromadzenia ludowe w Bratisławiu zaznaczyły wyraźnie, że Słowacy pogodzili się z państwowością czeską.

Centralny organ agrarjuszów słowackich „Slovensky Dennik" oświadczył: „Słowacy nie mogą ustąpić ani jednej litery z traktatu trianońskiego, który dla lorda R. może być „szmatką papieru", ale dla nas jest dokumentem świętym".

W Węgrzech zlikwidowano sprawę rewizji traktatu przez oświadczenie prezesa ministrów hr. Bethlena, że „rząd węgierski nie miał nic wspólnego z akcją lorda R., że żaden z ministrów z nim nie konferował i że nie uważa, aby w obecnej chwili sprawa rewizji traktatu była możliwą do zrealizowania.

Najnieoczekiwaniej telegraf przyniósł w ostatnich dniach wiadomość, że zarząd „Targów praskich" zaprosił lorda Rothermere'a do Pragi, aby mu pokazać, jak rząd czeski pojmuje obowiązki swe względem mniejszości narodowych. Można wątpić, czy zaproszenie zostanie przyjęte. Jeżeli tak, to ciekawą będzie rzeczą, jak się zachowa lord Rothermere w Hradczynie po tem wszystkiem, co głosił, pisał i zdziałał.

Światosław

Jaką ma być nasza przyszła Akademja Literacka

Z inicjatywy Tow. Literatów i Dziennikarzy rozpoczęły się narady bardziej konkretne nad sprawą przyszłej Akademji Literackiej. Na porządku dziennym pierwszego zebrania, w którem, niestety! nie mogłem wziąć udziału, znalazły się dwie kwestje:

1. Czy Akademja Literacka ma być instytucją samodzielną, czy też jednym z oddziałów Krakowskiej Akademji Umiejętności?

2. Ustalenie listy dziewięciu pierwszych Akademików, która to lista ma być przedłożoną do zatwierdzenia p. Prezydentowi Rzeczypospolitej.

Sądzę, że ogromna większość pisarstwa polskiego będzie przeciwną tworzeniu Akademji Literackiej, jako integralnej części Akademji Krakowskiej. Akademja Literacka powinna być instytucją samodzielną i niezależną. Siedzibą jej powinna być Warszawa.

Aby zresztą w sposób stanowczy odpowiedzieć na to pytanie, trzeba wprzódy rozstrzygnąć sprawę zasadniczą, która przedewszystkiem winna stać się przedmiotem obrad. Mianowicie:

— Jaką ma być przyszła Akademja? Ma-ż to być tylko instytucja reprezentacyjno - emerytalna, czy też — wielka kuźnica literatury, żywe ognisko twórczości narodowej, organizacja mądrej i czujnej opieki nad tą twórczością?

Gdy się u nas pisze lub mówi o Akademji Literackiej Polskiej, bardzo wielu ludzi myśli o Akademji Francuskiej, jako o wzorze, według którego winna powstać nasza Macierz literacka. Niektórzy myślą nawet zapewne i o wytwornych frakach zielonych, suto złotem szytych, a tak wdzięczne dających tło licznym orderom, o stosowanych kapeluszach i szpadach. Wszyscy nieomal — o dostatecznych dotacjach, zabezpieczających wygodny byt do końca życia. W mojem przekonaniu, ozdobne szatki i zamiłowanie do cacek orderowych należy zostawić dyplomatom. Nam, pisarzom, wystarczy zwykłe ubranie. Wydaje mi się również, że łączenie uczestnictwa w Akademji z emeryturą nie byłoby dla rozwoju Akademji pomyślnem. Łacno bowiem Akademja stałaby się zbiorowiskiem mężów o szanownej i zasłużonej przeszłości, mało jednak mających wspólnego z wartkiem życiem współczesnego piśmiennictwa. Akademja winna być uposażona w fundusze, pozwalające udzielać zasłużonym pisarzom dożywotnich emerytur. Emerytury te powinny zapewniać im byt beztroski. Lecz przyszła Akademja nie może być tylko Stowarzyszeniem czcigodnych emerytów, gdyż zbrakłoby jej sił żywotnych do realizowania tych wielkich zadań, których zabiegliwego, stałego spełniania ogół pisarstwa się spodziewa, i dla którego warto jest ponosić ofiary.

Wystarcza Wam, aby nazwano kilkunastu czy nieco więcej literatów—akademikami? Aby im przyznano dożywotnie pensje? Wystarcza wam, aby powstała instytucja, która będzie od początku cierpieć na anemję, niezdolność do czynu, brak ściślejszej łączności z współczesną twórczością? Taką instytucję można przydzielić do Akademji Krakowskiej, będzie jej nawet dobrze pod nieco ciężkiemi i nieruchawemi jej skrzydłami. Lecz jeżeli chcecie stworzyć instytucję żywą i życiem pulsującą, nietylko dostojny areopag czy senat, ale i warsztat pracy, czujną i zabiegliwą opiekę nad twórczością i warunkami jej rozwoju—odrzućcie przedawnione wzory Akademji Richelieu'go i pomysł wiązania się z ociężałą machiną Akademji Krakowskiej! Twórzcie organizację nowoczesną, do dzisiejszych warunków polskiego życia przystosowaną.

Państwo nasze jest zbyt ubogie, aby łożyć znaczniejsze fundusze na cele mało produkcyjne. Ażeby Akademja Literacka zasługiwała na poważne dotacje, musi stać się organem użytecznym, nieodzownym, musi być ośrodkiem energicznej działalności, nie zaś odosobnioną od życia wieżą z kości słoniowej. Ileż to zadań leży przed taką instytucją! Aby im sprostać, musi ona dbać przedewszystkiem i nadewszystko o interesy piśmiennictwa polskiego, a potem dopiero o interesy pisarzy.

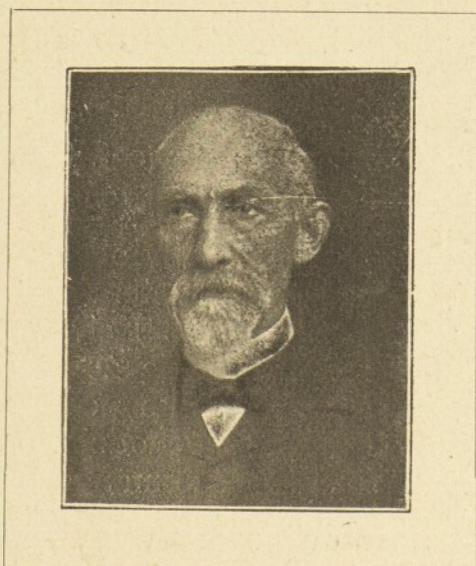
Określenie charakteru przyszłej Akademji Literackiej, to sprawa najważniejsza. Trzeba jasno zdać sobie sprawę, czego chcemy, czego nam potrzeba. W tym celu należałob-- powołać do życia komisję, z paru pisarzy złożoną. Komisja ta zbadałaby ustawy i działalność wszystkich analogicznych Akademji europejskich, zwłaszcza najnowszych, przestudjowałaby specjalne potrzeby naszego pisarstwa i na tych podstawach wypracowałaby konkretny projekt.

Ustalać już dzisiaj listę pierwszych akademików? Wydaje mi się to rzeczą przedwczesną. Naprzód trzeba zdecydować, czem ma być przyszła Akademja. Czy zgromadzeniem zasłużonych i czcigodnych weteranów piśmiennictwa, czy też instytucją żywą i płodną. Na to zaś, aby Akademja zyskała w narodzie odpowiedni autorytet, pierwszy zespół naszych akademików musi reprezentować nietylko cenny dorobek twórczy, ale także głębsze wartości moralne. O Akademji Francuskiej utarła się opinja, że jest ona także „salonem". Sądzę, iż z naszej Akademji nie będziemy robić salonu. Jeśli jednak w każdem piśmiennictwie zdarzają się genjalni Villon'owie,— ich miejsce nie jest w Akademjach. Powstanie Akademji Literackiej w Polsce powinno wpłynąć na poprawę w tej mierze stosunków, teraz niezawsze z powagą piśmiennictwa licujących.

Byłoby pożądanem, aby te wszystkie zagadnienia, związane z projektem Akademji, wywołały wśród naszego pisarstwa gorętsze zainteresowanie i dyskusję. Wyjaśnijmy sobie, o co nam chodzi, czego — w granicach ziszczalnych — pragniemy. Dla takiej dyskusji otwieramy jak najchętniej szpalty „Świata".

Stefan Krzywoszewski

JUBILEUSZ 50-LECIA SZKOŁY POLSKIEJ



Dyrektor Wojciech Górski, znany pedagog, założyciel gimnazjum Św. Wojciecha. Święcił jubileusz 50-lecia swojej uczelni. Na pamiątkę tej uroczystej chwili założył fundację.

Życie miłosne W. Ks. Konstantego*) (1795—1820)

Urodzony dn. 27 listopada st. st. 1779 r. drugi syn Pawła I — Konstanty odziedziczył wiele cech fizycznych i moralnych po ojcu.

Był wzrostu cokolwiek większego niż średni, „pięknie zbudowany, o kształtach atletycznych, wykazujących jego silną i żelazną konstytucję". Twarz miał okrągłą, cerę nadzwyczaj świeżą, zęby prześliczne, oczy małe niebieskie, błyszczące pod wielkiemi gęstemi, szorstkiemi i nad miarę długiemi brwiami. Szpecił go ogromnie nos, wyraźne dziedzictwo po ojcu. Nos ten, krótki i wklęsły, miał zadarty do góry koniec i olbrzymie otwarte nozdrza. Pomimo to w chwili spokoju na twarzy rozlewał się miły uśmiech i stawała się ona pociągającą. W chwili uniesienia natomiast występowało w niej coś nieludzkiego, niemal małpiego. W dodatku w gniewie miał zwyczaj, pośliniwszy dwa palce u ręki, krzyżować brwi w odwrotnym kierunku i wtedy dziki i zwierzęcy wyraz stawał się jeszcze dobitniejszy. Głos zaś chrapliwy i „zakrztuszony" czynił go jeszcze bardziej strasznym.

Już zewnętrznie tedy przedstawiał mieszaninę szczegółów ładnych i przerażających. Taką samą mieszaninę dobrego i złego przedstawiał i jego charakter.

„Gwałtowny i spokojny, energiczny i pełen wahania, skąpy i rozrzutny, unoszący się i cierpliwy, surowy i słaby, twardy i czuły, wzbudzający przestrach i uwielbienie", rzucający się z pięściami na ludzi a za chwilę ich całujący, był istotnie najdziwniejszym i najoryginalniejszym człowiekiem pod słońcem. Posiadał dobre i litościwe serce, wspierał sieroty i b. wojskowych, a zarazem krzywdził ludzi niemal na każdym kroku. Miał duże poczucie sprawiedliwości, a co krok popełniał czyny wręcz niesprawiedliwe, powodowany wrodzoną mu przekorą. Był dowcipny i, gdy chciał, przyjemnym w towarzystwie, a obok tego cechowała go żołdacka gburowatość, rozwinięta życiem wśród wojska, i rozpustą, której się oddawał w ciągu długich lat. I znowu dzikość, popędliwość, łatwe przechodzenie od gniewu do czułości odziedziczył po ojcu...

W 1795 r., gdy Konstanty skończył lat 16, Katarzyna II postanowiła go ożenić. W tym celu sprowadziła z Niemiec księżnę Sasko - Koburską, żonę ks. Franciszka Fryderyka Saxen - Saalfeld-Koburg, z trzema córkami: Zofją, Antoniną i Julją - Henryką - Ulryką (ur. w wrześniu 1781 r.). Księżna przywiozła do Petersburga swe córki w październiku 1795 r., a w kilka dni potem Konstanty oświadczył się o rękę 14-letniej Julji. Była to ładniutka bruneteczka, bardzo żywa i rozgarnięta umysłowo. Miała ona dobre serce i romantyczną główkę, natomiast brak jej było wykształcenia i zasad. Na początku lutego 1796 r. Księżniczka przyjęła prawosławie i imię Anny, a 28 lutego t. r. odbył się ślub młodej pary.



W. ks. Konstanty

Odrazu można było przewidzieć, że szczęścia w tem małżeństwie nie będzie. W. Książę bynajmniej nie chciał się żenić i jeśli wziął ślub, to tylko pod presją babki, której bardzo chodziło o rozrodzenie się domu Romanowów.

Hr. Gołowinowa w swym pamiętniku zapisała, że Konstanty jeszcze przed ślubem okazywał swej narzeczonej czułości, które nosiły wszystkie cechy grubijaństwa. Przychodził np. do niej o godzinie 10-ej na śniadanie, przynosząc ze sobą trąby i bębny. Zasadzał ją do klawecynu, a sam akompanjował jej na tych hałaśliwych instrumentach. Nie zawsze jednak zdobywał się na tak czuły wyraz swych uczuć dla niej; niekiedy posuwał się do tego, że wykręcał jej ręce lub gryzł je. A gdy po ślubie osiedlili się w podarowanym w. księciu przez Katarzynę pałacu Marmurowym, młody małżonek już przed świtem zrywał się z łoża i urządzał musztrę w maneżu pałacowym. W chwilach zaś dobrego humoru strzelał z armaty, nabitej żywemi szczurami.

Biedna kobieta cierpiała bardzo zpowodu takiego traktowania przez męża i tylko w towarzystwie młodej bratowej, Elżbiety, znajdowała trochę pociechy. Nic więc dziwnego, że, zetknąwszy się z Konstantym Czartoryskim, który wraz z bratem Adamem w tym czasie zjawił się na dworze petersburskim, oddała mu serce, skoro zauważyła, że stała się jego ideałem.

W. Książę, zdaje się, świadomie nie zwracał uwagi na ten stosunek, prawdopodobnie dlatego, że to rozwiązywało mu ręce i mógł czynić, co chciał. Jakoż po śmierci babki, przekonawszy się, że ojciec przez palce będzie patrzył na jego niewierność małżeńską, zaczął urządzać w swych apartamentach kolacyjki dla swych przyjaciół i aktorek i wreszcie szukać miłości w najrozmaitszych, nawet najbrudniejszych sferach. W końcu, zaraz po wyjeździe Konstantego w marcu 1799 r. do Wiednia, a stamtąd do Włoch, by wziąć udział w wyprawie Suworowa, okazało się, że w. ks. Anna zachorowała na chorobę weneryczną. „Dowiedziawszy się o tem, Konstanty — pisze hr. Gołowinowa — bardzo bolał nad swą winą i chciał tysiącznemi sposobami ją odkupić, lecz W. Księżna była oburzona do głębi duszy i, wiedząc, jak mało można wierzyć chwilowym żalom męża, postanowiła rozejść się z nim", wykorzystując w tym celu zezwolenie na wyjazd do rodziców, które uzyskała od Cesarza. Chciała ona podczas pobytu w Niemczech zmusić Konstantego do zgody na separację, a potem zawiadomić Pawła i jego żonę o swem niezłomnem postanowieniu.

W połowie marca 1799 r. W. Księżna wyjechała, będąc najlep-

*) Jest to ustęp z większej całości, która ukaże się wkrótce w odrębnej książce p. t. „Księżna Łowicka".

szej myśli, że plan, tak obmyślony, uda się w zupełności i z łatwością — tymczasem, zanim mogła przystąpić do pertraktacji z mężem, doszły ją i jej świtę listy Pawła, pisane w tonie jak najgroźniejszym, które tak przestraszyły młodą kobietę, że, bojąc się o losy członków swej świty, wróciła stosownie do rozkazu Cesarza w październiku tegoż roku, nic nie wykonawszy ze swych zamysłów.

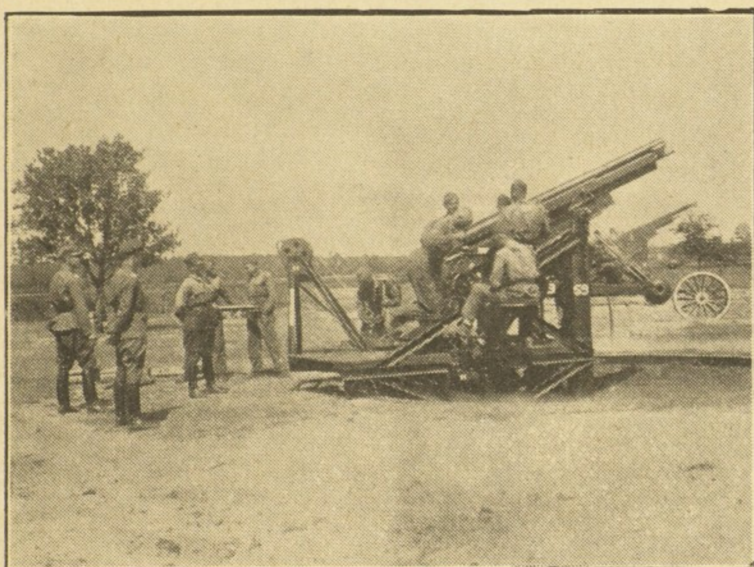
W miesiąc po niej powrócił Konstanty z wyprawy włoskiej i zamieszkali znowu pod jednym dachem; pomimo jednak największych wysiłków żony, by życie małżeńskie jakoś się ułożyło, możliwe stosunki pomiędzy nimi nie zapanowały. W. Książę żony nie kochał zupełnie, aczkolwiek nazywał ją „najpiękniejszą kobietą na świecie", ona nie potrafiła wzbudzić w nim uczucia ku sobie i wreszcie w 1801 r. po śmierci Pawła w. ks. Anna zerwała więzy małżeńskie i wyjechała zagranicę. Napisała do męża list, zawiadamiając, że porzuca go z powodu różnic usposobienia i charakterów, oraz na skutek tego, że nie może go kochać. Małżonkowie nie zeszli się już nigdy. Coprawda w 1814 r., ulegając żądaniom matki, w powrocie z Paryża W. Książę odwiedził żonę u rodziny i proponował jej powrót do Rosji, zapowiadając, że ich potomstwo zasiądzie na tronie, ale daremnie: ks. Anna nie zgodziła się. „Chciałem się pojednać z moją żoną; mój szwagier ks. Koburski potwierdzić może, że to ona mnie odepchnęła", powiedział w. książę w parę miesięcy potem wojew. Radziwiłłowej. W 1820 r., jak widzieliśmy, nastąpił rozwód w. księstwa. Księżna żyła jeszcze do 1860 r., mieszkając w Paryżu i w Elfenau koło Berna.



W. ks. Anna Teodorówna

(d. c. n.) *Adam Czartkowski*

MANEWRY WOJSK POLSKICH W GRODZIEŃSZCZYŹNIE



Działo 75 mm. przeciwlotnicze na pomoście w chwili strzału

Fot. Z. Charlewski



Zasłona stanowisk baterji przy pomocy sztucznego dymu



Sekcja pomiarowa dokonuje pomiarów odległości, wysokości kierunku i szybkości lotu lotnika

OTWARCIE NOWEGO SEZONU W OPERZE WARSZAWSKIEJ: „HRABINA" ST. MONIUSZKI

Fot. J. Malarski



Dziadzio—Michałowski, Wnuczka—Karwowska



Trio baletowe: Baliszewski, Szmolcówna, Dąbrowski

Nasza nowa powieść

Twórczość Andrzeja Struga zdobyła sobie powszechne uznanie. Dzięki artystycznej wizji tego pisarza potomność pozna prawdziwe oblicze ludzi podziemnych: oni to wbrew rzeczywistości prowadzili nieubłaganą, tragiczną walkę z naszą niewolą polityczną. Powieść jego „Dzieje jednego pocisku" jest przytem beletrystyczną syntezą naszego życia politycznego z przed lat dwudziestu. Andrzej Strug twórczością swoją przedwojenną zobrazował i moralne oblicze tego pokolenia, co podczas wielkiej wojny w samodzielnym czynie orężnym szukało rozwiązania zagadnienia Niepodległej Polski. Zgodnie ze swoim ideałem pisarz ten poszedł walczyć na front przeciwmoskiewski. I te czasy orężnej walki znalazły wyraz w jego twórczości. Kto nie zna jego opowieści p. t. „Za wierną służbę"? Kto nie wzruszał się tragiczną niedolą życia podczas wojny, zobrazowanego w „Mogile nieznanego żołnierza"?

Andrzej Strug sięgał po materjał narracyjny i do czasów powstaniowych. W ten sposób wiązał pokolenia przeszłe z wysiłkiem, z bohaterstwem czasów obecnych. Jego opowiadania o ludziach roku 1863 pełne są sentymentu, podziwu, szacunku. Trafiły też te utwory do serc wszystkich. Osobno i jakgdyby na uboczu jego twórczości powstała ciekawa powieść p. t. „Pieniądz". Jest w niej pogarda dla mizernego kruszcu: losy bogaczy, ich życie tuczone krzywdą społeczną nie przynoszą szczęścia nawet tym wybrańcom kaprysu obecnego ustroju społecznego.

Przenikliwy obserwator Andrzej Strug nie cofnął się przed ujęciem i krzywizn moralnych życia powojennego w Polsce wyzwolonej. Czytelnicy nasi pamiętają jego „Pokolenie Marka Świdy". Teraz rozpoczynamy druk nowej powieści, osnutej na tle wydarzeń powojennych p. t. „Uczta Zwycięstwa". Jesteśmy pewni, iż utwór ten czytelnikom naszym dostarczy wielu mocnych wzruszeń. Nowa ta powieść Andrzeja Struga, najpoważniejszego z naszych współczesnych beletrystów, wyróżnia się głębią ujęcia naszej rzeczywistości i polotem pióra.



Andrzej Strug

Notatki teatralne

INAUGURACJA SEZONU

W Teatrze Lwowskim nowy dyrektor p. Teofil Trzciński rozpoczął sezon nader szczęśliwie „Księciem Niezłomnym" z Osterwą. W innych rolach doskonale zaprezentowali się pp. Zaklicka, Szymański i Wabczyński, którzy do niedawna należeli do zespołu warszawskiego Teatru Narodowego. Można mniemać, że pod wytrawnem kierownictwem Trzcińskiego teatr lwowski odzyska dawną świetną opinję. Teatr krakowski i łódzki również inaugurują „Księciem Niezłomnym", i taksamo z Osterwą, który jak Ahasver przebiega z zawrotną szybkością prowincję. Teatr pomorski w Toruniu, pod dyrekcją Jerzego Rygiera, rozpoczyna sezon „Panem Damazym" Blizińskiego. Następnie iść mają „Oj mężczyźni, mężczyźni" Zalewskiego, „Głuszec" Krzywoszewskiego i „Judasz" Rostworowskiego. Głównym reżyserem będzie p. Józef Leśniewski, kierownikiem literackim — prof. Adam Münich. A Warszawa? Teatr Narodowy otwiera sezon „Królem Agisem" Słowackiego, który jeszcze nigdzie dotąd nie był na scenie wystawiony. Teatr Polski wznawia „Fedorę" Sardou z p. Przybyłko w roli tytułowej.

SEZON JESIENNY: WYŚCIGI KONNE NA POLU MOKOTOWSKIEM W WARSZAWIE



Po wyruszeniu ze startu: bieg nagrody Janowskiej



Trybuny podczas finishu: zwycięstwo „Forwarda"

Fot. Jan Ryś



Bieg pań na 60 metrów. P. Augustynowiczówna osiąga metę



Zawody lekkoatletyczne policji państwowej. Skok wzwyż. Józef Rokicki, przodownik z Warszawy

NA „SZATANIE"

(ze wspomnień turystycznych)

Trochę refleksji — Chwila lenistwa w Ciemnosmereczynach — Droga pełna tajemniczych wskazówek — Na szczycie — Noc pełna „halnego" i mokre planowanie w dolinę o świcie

W Tatrach oprócz wypraw turystycznych i spinaczek, przyjemne jest również „beztroskie", spokojne wędrowanie.

Wyciągam w góry nowego nowicjusza. Ma dużo chęci, zapału i należnego respektu przed groźnymi olbrzymami.

Obserwując swego towarzysza, jego ruchy, wyraz twarzy, nastroje i sposób reagowania na zmieniającą się fantastycznie w czasie drogi rzeźbę terenu górskiego, potwierdzam jeszcze raz swoje przekonanie, że do gór trzeba się urodzić. Wymagają one tej samej wrodzonej łatwości w obejściu, której wymaga morze od marynarza, czy las i jego „sekrety" od myśliwego.

Turystyka żąda zupełnie odrębnych specjalności.

Przedewszystkiem nie należy dać się uwodzić pozornym straszliwościom i groźnym efektom hypnotycznym gór.

Towarzysz mój przekonał się o tem wkrótce, ku obopólnej naszej niedoli.

Przemykaliśmy się na południową stronę Tatr.

W dziewiczych Ciemnosmereczynach rozłożyliśmy się nad potokiem na staroświeckim, zgrzybiałym mchu. Jasno zieloną otawą osnuł nadbrzeżne głazy. Okrył je miękką, delikatną puszystością.

Przegryzłszy coś z plecaków i zapaliwszy papierosy, wyciągnęliśmy się na wznak rozłożeni na tym zielonym dywanie.

Z łagodnym szumem potoku spływało z nas zmęczenie.

Po niebie ciągnęły gnane górnym wiatrem olbrzymie jasnozłote obłoki.

I tak, jak zawsze, ile razy leżę w górach twarzą ku niebu, przyszła znowu, jak echo dalekie, melodja słów z wiersza Micińskiego:



Skok wzwyż. P. Ziemelska z Pruszkowa

„Nademną płynie w przestrzeń nieba obłok pojony mlekiem gór....

I przez długą chwilę powracał ciągle uporczywą nutą.

„Nademną leci w przestrzeń nieba „Nademną leci...

Szum potoku, muzyka tych słów, niewiadomo już, czy na wargach, czy gdzieś w myślach się błąkających, szmer rozłożystych smreków trącanych wiatrem, zlały się w ten upajający ton chwili górskiej, gdy wszystko roztapia się we mnie i rozsnuwa mnie w sobie, jak drgające niedostrzegalnie nici pajęcze w podmuchach przestrzeni!

Na prawo z nad ciemnej fali rozkołysanych lekko smreków szary olbrzym, Hruby Wierch spadał gdzieś w dół poza ich wierchowce smukłemi strunami żlebów, piargów i ścian.

Wspaniały kadłub górski! Na przejście jego grani potrzeba kilkunastu godzin rzetelnej pracy turystycznej. Od wczesnej godziny chłodnego brzasku do purpurowych chwil zachodu wędruje się poziomą linją skalną.

Kiedyś będziemy tam. Przyjdzie i na nią czas w samobiczownictwie turystycznem.

Szczyty górskie wymagają pewnego zbiegu okoliczności, chęci, nastroju i fantazji.

I któregoś dnia z tych złączonych ze sobą kolorów człowieczeństwa wyłania się nakaz wewnętrzny, że tego dnia pójdzie się tam właśnie, a nie gdzieindziej.

Tymczasem Hruby poczeka na swoją kolej.

Teraz w inną stronę pogania nas ochota.

Z miękkich mchów dźwignąwszy się, powędrowaliśmy przez kamienne wnętrze cudownej, klasztornej Niewcyrki, przez otulony w mgłach Furkot, półkolisty Bystry Przechód, z którego spadali w słoneczne doliny węgierskie siuhaje tatrzańscy. Okrążając porozrzucane w olbrzymiem górnem piętrze doliny Młynicy mroźne stawy i stawki, wyniesione pod niebo na dwa tysiące metrów, stanęliśmy u stóp otoczonego rojem Baszt — Szatana.

Nazwa tego szczytu pochodzi od gadki, głoszącej, iż w Żlebie Szatanim mają być ukryte przez szatana skarby.

Chodził raz po nie jakiś baca szczyrbski z czarnoksiężnikiem, który mu owe złoto miał pokazać, lecz zły duch spuścił na nich skały, ledwie z życiem uszli.

Wejście zachodnią ścianą na ten szatański szczyt pełne jest kabalistycznych przepisów.

Trzeba liczyć usypiska, zachody, biegnące nad stromemi ścianami, potem żleby i trafiwszy na odpowiedni, brać się do góry. Zupełnie, jak ten baca szczyrbski.

Zrobiliśmy wszystko skrupulatnie, według wymagań ściany. Lecz gdy się zaczęło podchodzenie, towarzysz mój stracił odrazu resztkę swojej energji, szybkości i oddechu.

Długie godziny wlekliśmy się noga za nogą.

Zastanawiałem się, czy nie wrócić, lecz on nie chciał.

Czerwonym żlebem zejdziemy do Mięguszowieckiej i tam strudzone jego członki odpoczną sobie w kolebie, w której zdecydowaliśmy nocować.

Tymczasem słońce spływało coraz niżej.

Zaczynam go poganiać. Idzie, ale widać, że jest bardzo nieszczęśliwy, sterany i zgnębiony swoją osobą. W żlebach i załamaniach skał cienie coraz głębsze. Dolina pod nami zasnuwa się gęstniejącym woalem mroku.

Nareszcie szczyt.

Siada zmęczony i zrezygnowany.

Spieszę się z odszukaniem upragnionego żlebu, bo może być naprawdę źle z tym Szatanem. Poganiam siebie nie na żarty.

Jest. Wcina się w grań wązkiem, pionowem korytem.

Nie wiedziałem jeszcze wtedy o wszystkich zdradliwościach tego żlebu, odkrytego przez Zaruskiego. Gdy później czytałem opis tortur, doznanych przez niego i jego towarzyszy, trochę dziwnie mi się zrobiło na myśl, że mogłem się znaleść w nim o zmroku już prawie.

Tymczasem jednak zawołałem swojego kompana, schowanego za którąś tam grzędą, żeby szedł do mnie.

Wlókł się całą wieczność. A tu tymczasem ostatnie pomarańczowe promienie zachodzącego słońca musnęły grań i zaczęły szybko zapadać za siniejącym w oddali murem szczytów.

Patrzę w żleb. Coraz ciemniej. Jest nareszcie i mój towarzysz. Zostawiłem go na górze i zacząłem schodzić.

Wązkie koryto wypełnione rudawym miałem. Za każdym krokiem sypie się zdradliwie z pod nóg.

A tu boki żlebu kruche, zwietrzałe. Leci wszystko z pod rąk, czego się dotknąć. Obrzydliwa ruchomość.

Syczą te kruchości i ze zjadliwym szumem lecą wdół.

Jadę jednak. Zobaczymy, co będzie dalej? Nagle próg. Wyciągam szyję. Ciemno. Urywa się pod nogami. Ile tam tego, trudno określić w mroku. Medytuję.

Ścianka napewno też krucha. Jeżeli tutaj wszystko się tak sypie, to co dopiero przy schodzeniu po niej, prawie po omacku. Kto wie, czy nie trzebaby sterczeć gdzieś całą noc nad temi kruchościami. Tem bardziej, że tam dalej nic wyraźnego nie widać. Wracać, to będzie najlepiej. Zaczynam umykać z nad tego progu rozsądku.

Sypie się i syczy wszystko zjadliwie, jak stado żmij. Krok w górę, dwa w dół. A tu coraz ciemniej. Grzeb się człowieku w miale jak jaki jamnik.

Pomału wykopałem się jednak. A tu w dole, jak stwierdził na własnej skórze Zaruski, kilkanaście takich progów i latających głazów i dużo jeszcze niespodzianek.

Los i zdrowy rozsądek ustrzegł nas od tych przyjemności.

Wędrujemy granią na szczyt. Ale widzę, że z moim towarzyszem niedobrze. Nogi mu się plączą po całodziennych emocjach i słaby już jest, jak dzieciątko.

Zgasł purpurowy zachód.

Dochodzimy do szczytu.

A tu jak nie „pringnie" z za skały kozieł olbrzymi.

Śmignął przed nami, jak błyskawica, świecąc w odblasku rudobrązowym grzbietem. Tylko kamienie po nim zaśpiewały strącone w żleb. Długo jeszcze dzwoniły po skałach.

Na niebie zaczyna się jakaś kotłowanina chmur i mgieł. Nagle potężny ciepły podmuch zakołysał nami na grani. W parę minut ściemniło się zupełnie i zaczęły walić w nas potężne uderzenia wiatru.

Halny!

Tego tylko brakowało. Trudno, nocujemy. Wiatr bije od zachodu. Chowamy się za grań.

W ciemności wynajduję jakąś półkę. Co tam pod nią się dzieje, nie widać. Odgradzamy się od tej tajemniczej ekspozycji kamieniami wybranemi z półki. Jakoś nie bardzo nawet gniecie ta półeczka.

Wiatrówki pod spód. My na nich, na nas dwa koce. Nakrywamy się z głowami. Jeszcze tylko jedno spojrzenie na światełka błyskające gwiazdzistą koronką na dolinie węgierskiej. W kolebie w Mięguszowieckiej, gdzie mieliśmy nocować, pali ktoś watrę.. Trudno. Godzina dziewiąta. Zasypiamy. Wiatr wyje jak oszalały na grani, o parę metrów nad naszemi głowami. Przy halnym ciepło. Wygraliśmy na nim tylko. Tu, gdzie leżymy, zacisznie, choć dość oryginalnie. Śpimy, jak susły. O 1-ej na komendę przewracamy się na drugi bok i śpimy dalej.

Tylko czasami przez sen słyszymy ryk wiatru, ostry gwizd podmuchów na grani i poszarpane szumy potoków, przynoszone w wirujących uderzeniach.

O czwartej budzi nas jakiś szum na kocach. Wystawiamy głowy. Pada.

Halny przyniósł nieodłączny deszcz.

Przegryzamy coś pod kocami. Po tem wyspani i wypoczęci, (zwłaszcza mój towarzysz) pakujemy raz, dwa, trzy manatki do worków, wkładamy wiatrówki. Zaczyna lać porządnie.

Przez kilka długich godzin poganiały nas nielitościwie strumienie wody w żlebie, na zachodach, usypiskach, w dolinie Młynicy i nawet w lesie, aż do samej Szczyrby.

Gdyśmy o godzinie 9-ej wchodzili do schroniska, wyglądaliśmy, jak dwaj topielcy wyciągnięci z głębi oceanu. Wędrówka skończona. W ten sposób uniknęliśmy szatańskiego Czerwonego Żlebu.

J. H. Rytard

RAID AUTOMOBILOWY PAŃ: WARSZAWA—POZNAŃ



Grupa nagrodzonych pań: Od lewej: 1) Dr. Sadowska (Steyr) nagr. IV, 2. p. Jabłońska (Citroen) nagr. III, 3) p. Marchlewska (Fiat) nagr. I, 4. p. Turnai (Citroen) nagr. II, 5. p. Regulska (Metalurgique) nagr. V, 6. p. Marjańska (Buick) najlepsza szybkość. Fot. Z. Majcherski





Raid utomobilowy pań na trasie Warszawa—Poznań: pierwsza przybyła p. Marjańska na „Buick" nr. 1. Ogółem na 15 startujących wozów przybyło do Poznania 13. Fot. J. Malarski

Z LITERATURY NIEMIECKIEJ

NAKŁADY NIEMIECKIEJ BELETRYSTYKI

Poczytni beletryści niemieccy żyją sobie niezależnie i dostatnio. Utwory ich bowiem rozchodzą się w setkach tysięcy egzemplarzy. (U nas w Polsce idealnem byłoby osiągnąć choć dziesiątki tysięcy nakładu!). Z tej racji powieściopisarz niemiecki może pracować bez pośpiechu, stać go na podróż po nowe wrażenia, od niego zależy wybór tematu i środowiska. Studjom wszelkim, ciekawostkom intelektu ma czas do poświęcenia. Żywią go książki, które raz napisał. Wystarczy dla porównania przytoczyć liczby nakładów choć takiego belletrysty, jak Bernhard Kellermann. Poziom jego utworów znamy, tem łatwiej możemy się zorjentować w pojemności niemieckiego rynku książkowego:

„Tunel" ukazał się obecnie w 248 wydaniu.

„Ingeborga" osiągnęła już 123 nakład.

„Yester i Li" rozeszła się w 168 wydaniu, niedawno opublikowany romans p. t. „Bracia Schellenberg" zdobył 20 nakładów, a głośną, powojenną powieść „9 Listopad" zapowiedziano w 51 wydaniu. Nawet tak słabiuchna powieść tego autora, jak „Morze", ma za sobą 54 publikacje.

By nie smucić naszego czytelnika stosunkami wydawniczemi, panującemi u nas — nie czynimy porównań. Byłoby zbyt smętne! Powieść polska o nakładzie dziewięciotysięcznym jest.... białym krukiem.

„TAJEMNICA CZŁOWIEKA"

Znany pisarz niemiecki Franz Werfel w ostatnim zeszycie „die neue Rundschau" wydrukował nowelę p. t. „das Trauerhaus" — dom Żałoby. Opowadanie to jest wiedeńską historyjką, ale bez lekkości i smaku tego naddunajskiego grodu. Bohaterami są: Ludmiła Valeska, Jadwiga, Anita. Nowela ta ma zadecydować o powodzeniu nowego tomu opowiadań Werfla. Zwać się będzie ta książka „Tajemnica człowieka". „Dom żałoby" niewiele przynosi tajemnic. Nieraz bowiem opisywano zakazane spelunki. Robiono to jednak... nie negliżując śmierci. F. Werfel odważył się zrobić w takim lokalu dom pogrzebowy. Jest to bardzo niesmaczne. Przykra jest dla nas też wiadomość, że wśród pensjonarek znajdują się damy o takich nazwiskach, jak „Valeska". Pisarze niemieccy lubią spelunki wszelkiego rodzaju zaludniać kobietami słowiańskiemi. Znajduje się w domu tym też i berlińska Greta, ale to wszak nie usprawiedliwia autora. Finał noweli jest groteskowy i podobno dla wiedeńskiego życia miarodajny: p. Ludmiła zostaje żoną człowieka, który będzie ministrem. Zdarzają się i takie bajeczne karjery!

Franz Werfel uchodzi za utalentowanego i bardzo poczytnego pisarza. Nie można jednak powiedzieć, by wszystkie jego utwory obfitowały w poczucie smaku. Nawet satyra musi się liczyć z.... rzeczywistością.

J A?

W pewnych kołach literackich niemieckich powieść Piotra Flamma p. t. „Ja" wywołała zachwyty. Znaleźli się nawet usłużni wzmiankarze, opiewający dytyramby ku czci „wizjonerskiej, niesamowitej, arcyludzkiej" opowieści o dziejach jaźni człowieka, który wrócił z frontu i dalej przeżywa koszmar wojny. Psychika tego człowieka jest chora. Jako temat artystyczny nie podlega więc krytyce. Dowolność wszelka plącze się po przez smętne stronice tej naprawdę smutnej i przykrej opowieści. Nie wynagradzają koszmarów tych refleksje humanitarne autora. Odrażające wrażenia podrywa natomiast Flamm kryminalną historją o Emmie Prześcieradło. Rezultat tych tragedji jest taki, iż czytelnik pod koniec książki dobrodusznie uśmiecha się: zbyt na czarno wymalowany jest tu djabeł! Tragedja przeradza się w opowiastkę dla niegrzecznych dzieci. Naiwność środków pisarskich przy niesamowitej chaotyczności toku narracji wskazuje, iż powieść Piotra Flamma nie może liczyć na szerszą poczytność. Po co ją przełożono? P. Jacek Fruechling tłomaczy wszelkie nowalijki beletrystyczne, przyswoił więc mowie polskiej i tę koszmarną opowiastkę. Odpychająca, smętna jej treść nie przynosi wzruszeń z dziedziny sztuki. Współczujemy bohaterowi, bo i jakże nie litować się nad człowiekiem o chorej, zbolałej duszy. Szata książkowa tej powieści jest bardzo staranna.



Z literatury rosyjskiej

Zwiastun beletrystyki komunistycznej

W roku bieżącym przypada 25-lecie śmierci znanego i cenionego beletrysty rosyjskiego Gleba Uspienskiego. Propaganda bolszewicka pragnie uczcić pamięć tego pisarza w specjalny sposób. Uważa go za zwiastuna beletrystyki komunistycznej. Jest to lekka przesada. Uspienski był twórcą o tendencjach „narodowolczeskich". Jego świat wizji obejmował niziny społeczne, chłopstwo, drobnych urzędników, biednych rzemieślników. Budził uczucia sprawiedliwości społecznej. Bronił żydów i inne mniejszości narodowe od poniewierki i okrucieństwa psychiki rosyjskiej. Słynną jest przecież jego opowiastka p. t. „Żydienok" —„Żydziak", w której pokazuje bezmyślne, tępe naigrawania się z nędzy, niemocy małego biednego wyrostka, sprzedającego cytryny i pomarańcze w jakiemś miasteczku południowej Rosji.

Uspienski wady duszy rosyjskiej smagał nielitościwie. Ileż nadrwił się on z głupoty małych urzędniczków, policjantów, kułaków? Pisma jego są właściwie okrutną galerją figur rodzajowych, kolorowych przez specjalne zabarwienie życia obyczajowego rosyjskiego z lat 1870 — 1893. Uspienski niewątpliwie był pisarzem, związanym sentymentem tylko z warstwą ludzi ubogich, upośledzonych przez los. Czyż z tego należy wysnuwać wnioski, że zwiastował literaturę.... komunistyczną? Raczej przeciwnie. Pisarz ten złożył w ofierze życie swoje na ołtarzu sprawiedliwości społecznej. Brzydził się gwałtem. I to go właśnie różni od tendencji bolszewickich.

W dorobku swoim pozostawił utwory o wartościach raczej obyczajowo-rodzajowych. Prawda kierowała jego piórem. Artyzm uważał za pański zbytek. Doprowadziło go to usposobienie duszy do katastrofy. Jak wiadomo bowiem, Gleb Uspienski zmarł w domu warjatów po dziesięcioletniej męce.

WSPOMNIENIE

Św. p. d-rowa Julja Rudzka należała do tej nielicznej grupy kobiet, które odegrały dużą rolę w społeczeństwie, krzewiąc idee postępowe i budząc ruch kulturalny. Pani Julja pochodziła z rodziny ziemiańskiej i początkowo kształciła się na pensji w Kielcach, gdzie wykłady G. A. Bema wywarły na nią silne wrażenie i zaszczepiły zamiłowanie do literatury ojczystej, którem odznaczała się do końca życia. Po ukończeniu pensji wstąpiła na kursa Baranieckiego w Krakowie, a następnie kształciła się w tz zw. Latającym Tajnym Uniwersytecie w Warszawie, gdzie wykładali ludzie tej miary, co Marburg, Chlebowski, Ślusarski i t. p. Uzyskawszy pozwolenie na założenie szkoły freblowskiej, pod tym płaszczykiem urządziła czytelnię, kółko samokształcenia, zebrania dyskusyjne, za co stała się przedmiotem napaści zacofanych turów tego Klerykowa, jak nazywał Żeromski ówczesne Kielce.

Po wyjściu za mąż wstąpiła na uniwersytet w Pradze Czeskiej i, opanowawszy szybko język, zawarła ściślejsze stosunki z wybitniejszymi ludźmi w Czechach, jak profesor Masaryk, Vrhlicky, Adolf Czerny i t. p.

Z Czech wysyła doskonałe korespondencje do pism polskich w Czechach a do pism czeskich o Polsce. Przyswaja też literaturze polskiej szereg wybitniejszych utworów czeskich (Karol Reis „Patrjoci w zakątku", Zeyer „Jej i jego świat", Vrhlicky „Poezja i proza" i t. d.).

Po powrocie do kraju osiedla się wraz z mężem, lekarzem, w Nałęczowie, gdzie właśnie zapoznałem się z państwem Rudzkimi. Były to lata 1905 r., w których odrazu zaznaczyły się jaskrawe różnice pomiędzy Narodową Demokracją i t. zw. Lewicą. Do pierwszej należeli prawie wszyscy, do drugiej ja, Żeromski i państwo Rudzcy, gdzie pani Julja śmiało wypowiadała swoje poglądy, nie bacząc na to, że jej mąż jest zależny od zacofanych władz zakładu. Taka sytuacja nie mogła trwać długo, dr. Rudzki musiał się podać do dymisji i objął stanowisko lekarza naczelnego huty „Raków" pod Częstochową. Tu pani Julja pracuje nad zorganizowaniem szkoły fabrycznej, nad rozwojem czytelni i wreszcie dom Jej staje się przystanią dla rewolucyjnych działaczy. Po osiedleniu się w Warszawie, obejmuje wykłady literatury w Uniwersytecie Ludowym, aż wreszcie wykłada ten sam przedmiot w Seminarjum dla nauczycielek. Umie wlewać swój zapał i swe umiłowanie w serca młodych słuchaczek.



Ś. p. Julja Rudzka

Uwielbiała szczególnie Słowackiego, do tego stopnia, że ciężko chora zwlokła się z łóżka, by wstąpić na pokład statku, wiozącego szczątki wieszcza i uszczknąć listki z jego wieńców, z któremi nie rozstawała się do końca. Zawsze pogodna i równa, ta mężna pionierka postępu, znając swój stan, z całym spokojem patrzyła w tajemnicze oblicze zbliżającej się śmierci, pewna, że pamięć o Niej trwać będzie długo, a rezultaty Jej czynnego życia owocować będą.

G. Daniłowski

TAM KUPUJCIE!

PO POWROCIE Z WYWCZASÓW, po wycieczkach i wysiłkach sportowych daje się zauważyć nasilenie wypadania włosów, w następstwie zgrzania skóry głowy i jełczenia tłuszczu. Często odczuwa się swędzenie skóry głowy, co świadczy o jej znacznem zadrażnieniu. Bezkrytyczne stosowanie mydeł, wód do włosów i t. d. potęgują te przypadłości. Skutecznie zwalcza się wspomniane objawy jedynie częstem myciem *skóry głowy* i włosów *Shampoonem D-ra Lustra.* Wystrzegać się należy również mycia twarzy tłustej mydłem. Dla takiej cery nadaje się wyłącznie *proszek marmurowy „Miraculum“*, tudzież puder odtłuszczający *higjeniczny* D-ra Lustra.

Dr. Z. B.

Z dziedziny kosmetyki leczniczej

Łysienie plackowate polega na wypadaniu włosów mniejszemi lub większemi placami, które łącząc się ze sobą, mogą powodować kompletne wyłysienie. Prof. Sabauraud przyczynę cierpienia widzi w prątku łojotokowym, prof. Joquet zaś widzi przyczynę w zabarwieniach odżywczych nerwowych. Usposobienie dziedziczne, cierpienie tarczycy, gruczołów płciowych i t. p., odgrywają bezwzględnie nie małą rolę. To też przystępując do leczenia przedewszystkiem należy ustalić przyczynę. Zewnętrznie należy stosować mycie głowy mydłem siarkowym 10% Malinowskiego. Poczem stosuje się wcieranie hryzarobiny (od 1:500 — do 1:10). Dobrze też działa wcieranie nalewki kantarydowej, kamfory, siarki i t. p. Pamiętać należy, że po pewnym czasie, może nastąpić podrażnienie, wówczas stosujemy przez jakiś czas krem lanolinowy lub waselinowy Malinowskiego. Besnier stosuje w ciągu kilku dni (do otrzymania podrażnienia) kwasu karbolowego, kwasu octowego po 1,0, chloroformu 8.0, lub też „chlorali hydrati 5,0, eteru 25,0. W Saint - Luis stosują się „siarki 2,0, kwasu salicylowego 1,0, lanoliny 30,0. Z gotowych preparatów dobrze działają „Tetral“ i „Tortuled“. Do wewnątrz Julja Sterg stosuje Humagsolan. Mechanoterapja i fizyoterapja (lampa kwarcowa, masaż metodą Jaquet'a, d'Arsonval i t. p.) ogromną okazują pomoc w leczeniu wyłysienia plackowatego.

Dr. med. Feliks Rostkowski

Jak pracuje John Galsworthy?

Nagół panuje przekonanie, że większość pisarzy najlepiej pracuje pod jakąś narkozą. Papierosów i cygar nie bierze się pod uwagę, gdyż są to zbyt zwykłe substancje. Wino, wódka, opium, morfina — oto narkotyki wpływające na pobudzenie fantazji. Istotnie wielu pisarzy pomaga sobie temi środkami podczas pracy. Znać to zresztą na ich twórczości.

Warto jednak zanotować, iż są i twórcy stroniący od wszelkich narkotyków. Do takich należy znakomity autor angielski John Galsworthy. Obchodzi on obecnie sześćdziesięciolecie swoich urodzin. Z tej racji do zacisznego jego domu przy „Growe Lodge", w północno-wschodniej części Londynu, spieszą liczni wielbiciele jego talentu. W prasie angielskiej, francuskiej i niemieckiej ukazały się liczne artykuły o twórczości autora „Patrycjusza".

John Galsworthy oświadczył, iż zapewne nie byłby pisarzem, gdyby nie jego żona. Do 28 roku życia nie brał pióra do ręki. Skończył prawo i zamierzał uprawiać adwokaturę. Był jednak niezależny materjalnie, więc nie bardzo dokładał starań, by zyskać klijentelę. Kiedyś na propozycję żony, zaczął pisać jakąś opowiastkę. Wydrukował ją, w dwa lata napisał takich utworów dziesięć.

Autor „Patrycjusza" od tego czasu rozpoczął codzienną systematyczną prace twórczą. Codziennie zrana bez względu na to, gdzie się znajduje, poświęca trzy godziny na pisanie. Daje mu to świetne rezultaty. Uważa, że bez tej systematyczności nie mógłby napisać tak olbrzymiego dzieła, jak słynna opowieść „Forsyte Saga". Rękopisy przepisuje mu żona. Jej krytyka sprawia, że nieraz całe rozdziały pisze nanowo.

Nie używa przytem żadnych narkotyków.

Na pytanie jakiegoś ciekawego dziennikarza, co pije, nim usiądzie do pracy, — odparł z uśmechem: „Herbatę ze śmietanką"!

SEJM I RZĄD

Nadzwyczajną sesję Sejmu zwołał p. Prezydent Rzeczypospolitej od dn. 13 b. m. Termin pierwszego posiedzenia ustali p. marszałek Rataj.

Senat zwołany dekretem Prezydenta Rzeczypospolitej z terminem 22 b. m. Marszałek Trąmpczyński przybył już do Warszawy.

Urzędnicy państwowi zabiegają u wicepremiera p. Bartla o poprawę swej doli. Dotąd zyskali tylko teoretyczne uznanie swych potrzeb.

NARADY W GENEWIE

8-ma sesja Zgromadzenia Ligi Narodów trwa w Genewie z udziałem wybitnych mężów stanu pod przewodnictwem urugwajczyka d-ra Guani. Szczegółowe obrady toczą się w sześciu komisjach.

W sprawie paktu o nieagresji wystąpiła Polska z wnioskiem zasadniczego potępienia agresywnej wojny przy rozstrzyganiu międzynarodowych zatargów i stosowania wyłącznie środków pokojowych.

Wniosek Polski przyjęła Liga Narodów naogół bardzo życzliwie, ponieważ — jak stwierdził Chamberlain — przyczyni się on niewątpliwie do udoskonalenia dzieła pokoju.

„Uroczysta jednomyślna demonstracja przeciwko wojnie" — zdaniem Brianda — „wznosi moralną barjerę przeciw wojnie".

SPRAWY POLSKIE

Szeregiem reklamacji zarzucił Gdańsk Radę Ligi Narodów. Jak się zdaje, niewiele zyska, bo prawie wszystkie roszczenia są bezpodstawne.

Gdańsk działa na własną niekorzyść, wytaczając wciąż przed forum genewskie nowe skargi — oświadczył minister Strassburger w Genewie przedstawicielom prasy zagranicznej.

POLITYKA ZAGRANICZNA

Rewolucyjny zamach stanu podjęło na Litwie Kowieńskiej grono politycznych działaczy. Tło niewyjaśnione należycie. Rząd Waldemarasa opanował sytuację.

Europa już dojrzała do rewolucji, zdaniem Bucharina, a komuniści chcą rozpocząć kampanję od Francji. Na szczęście, są to tylko pobożne życzenia.

Transjordanja na mocy umowy z Anglją uzyskała zupełną niepodległość pod rządami emira Abdula.

RÓŻNE

Generał Żymirski został skazany wyrokiem okręgowego sądu wojennego w Warszawie na 5 lat ciężkiego więzienia, pozbawienie praw i wydalenie z wojska.

Akcja pomocy dla powodzian w Małopolsce Wschodniej zatacza szerokie kręgi. Współdziała rząd i społeczeństwo, płyną liczne hojne ofiary.

POLESIE

Wiele względów przemawia za tem, byśmy znali dokładnie kraje wchodzące w skład ziem Rzeczypospolitej. Niestety, nie możemy powiedzieć, by zostało zrobione wszystko w tym kierunku. Ukazała się właśnie praca p. Wiktora Mondalskiego p. t. „Polesie", będąca swojego rodzaju monografją, a przynosząca wiele ciekawych, niemal rewelacyjnych wiadomości.

Nawet rzeczy zdawało się tak znane jak zalesienie, p. Mondalski poddaje dokładnej rewizji. Tułała się przecież po podręcznikach wiadomość, że na Polesiu rosną „z iglastych drzew — jodła, świerk, rzadziej sosna". Okazuje się jednak, że „Zasiąg jodły omija Polesie, sosna jest pospolita, a świerk rzadszy, na południu Polesia nawet wyspowy".

Monografja p. Wiktora Mondalskiego obejmuje takie działy :Powierzchnia, granice, krajobraz, pochodzenie geologiczne, powierzchnia teraźniejsza i gleby, wody, klimat, świat roślinny, świat zwierzęcy, człowiek.

Jak stwierdza we wstępie autor „Polesie, to nietylko bagna i moczary, nietylko piaski i lasy neporządnie zagospodarowane — ale warownia od Wschodu, a ponadto kraina wielkich możliwości gospoadrczych, być może że rezerwoar, który wchłonąć mógłby spory nadmiar polskiej ludności, stając się z pustyni granicznej krainą gospodarczo i politycznie wysoką".

Monografja p. W. Mondalskiego winna zainteresować szersze koła naszej inteligencji. Wpierwszym rzędzie zaś koła urzędnicze i nauczycielskie. Administracja państwowa powinna znać kraj na wylot tak, jak i nauczycielstwo. Dwie te dziedziny działania w społeczeństwach normalnie rozwijających się uzupełniają się: nauczycel daje ścisły obraz rzeczywistości, a urzędnik administracyjny odpowiednio do materjału faktycznego wykonywa władzę. „Polese" zaciekawić też winno naszych ludzi pióra. Rozdział o pejzażu przynosi wiele spostrzeżeń o wartości artystycznej.

Redaktor odpowiedzialny St. KRZYWOSZEWSKI

Druk GALEWSKI i DAU, Warszawa